

Cyrk Tuska

23 listopada 2010

Rządząca Polską formacja polityczna ma właściwą nazwę. Jej skrót można bowiem równie dobrze rozwinąć jako Platforma Obywatelska, jak również jako Platforma Oszustów. To drugie rozwinięcie zdecydowanie bardziej pasuje do tego, co robi rząd Donalda Tuska. Oszustwo, to główna cecha rządów premiera Tuska i jego ministrów. Można być pewnym, że wszystko, co obiecują w kolejnych kampaniach wyborczych, zostanie zrealizowane dokładnie odwrotnie.

PO obiecała, że nie podniesie podatków. Oczywiście było, że właśnie je podniesie – i to te najbardziej dotkliwe, uderzające w najsłabsze rzesze społeczne. W ramach spełniania tych obietnic – zrobimy dokładnie odwrotnie niż obiecywaliśmy – od 1 stycznia 2011 r. rząd Tuska podniesie podatek VAT. Z obecnie obowiązującej podstawowej stawki 22 proc. VAT wzrośnie od nowego roku do 23 proc.

Oznacza to wzrost cen żywności i większości podstawowych usług. Bałamutne tłumaczenia, że jest to najmniej dotkliwa dla obywateli podwyżka, można włożyć między inne bajki tego rządu. Podwyżka Vat uderzy przede wszystkim w najuboższych, którzy najdotkliwiej odczują jej skutki. Na tym jednak nie koniec. Jak podaje „Rzeczpospolita” z 13 września, kolejna podwyżka podatku VAT zaplanowana została na lipiec 2012 roku. Tym razem będzie to podwyżka o kolejne dwa punkty procentowe.

Po tej kolejnej podwyżce podstawowa stawka VAT wyniesie 25 proc. Będzie to kolejne uderzenie w portfele osób niezamożnych. Czekają nas więc kolejne fale podwyżek. Producenci i firmy usługowe, znając te plany, już teraz będą chciały zrekompensować sobie podniesienie stawki VAT, podnosząc ceny i wyprzedzając wprowadzenie następnej podwyżki. Dla milionów obywateli oznaczać to będzie wzrost obciążeń i kosztów utrzymania, bo wydatków na produkty pierwszej potrzeby i

usługi podstawowe uniknąć się nie da. Trudno bowiem nie jeść i nie płacić czynszu. Tego nawet znany z czynienia cudów Tusk nie potrafi wprowadzić w naszym społeczeństwie.

Jakby tego było mało, w tym samym artykule w „Rzeczpospolitej” można przeczytać, że oprócz kolejnej podwyżki VAT, Platforma Oszustów ma zamiar zamrozić pensje pracowników budżetówki. Już dziś z waloryzacją świadczeń mogą także pożegnać się emeryci i renciści. Przy rosnących cenach i kosztach utrzymania miliony osób nie otrzymają żadnych rekompensat ani wzrostu wynagrodzeń. To oczywiście doskonale współgra z teledyskami z kampanii wyborczej, w której Donald Tusk obiecywał wszystkim wzrost wynagrodzeń.

Jak się wkrótce okazało, w kilka miesięcy później Tusk, już jako premier, oświadczył, że swoich obietnic nie zrealizuje, bo mamy kryzys, a drugiej Irlandii też nie będzie, bo w Irlandii jest jeszcze większy kryzys. Ktoś, kto pomyślałby, że Platforma Oszustów działa z dnia na dzień i robi to, co robi bez żadnego planu, nie doceniałby Tuska i jego kompanii. Doskonale wie on, co robi, i swoje działania wcześniej przygotowuje.

OD ZERA DO MILIONERA

Już jakiś czas temu zniesiono zasadę ustalania wskaźnika wzrostu wynagrodzeń na kolejny rok. Wskaźnik ten obowiązywał w sferze budżetowej, lecz był również wyznacznikiem do negocjacji wzrostu wynagrodzeń w większości firm nie tylko państwowych, ale również prywatnych. Zwykle odbywało się to w taki sposób, że jeśli rząd ustalał wzrost na poziomie np. 3 proc., to oznaczało to, że od tego pułapu rozpoczynają się negocjacje płacowe w większości firm.

Rola tego wskaźnika była więc bezcenna, ponieważ milionom pracowników w dużym stopniu gwarantowała podwyżkę płac w tak ustalonej minimalnej skali. Teraz rząd nie musi ogłaszać wskaźnika wzrostu wynagrodzeń, co w praktyce oznacza, że

wynosi on zero. Zero jest też punktem odniesienia do negocjacji podwyżek płac w innych firmach. Zwykle na tym zerze się kończy. Nie ma więc już instrumentu wspierającego wzrost wynagrodzeń w kolejnych latach. Skwapliwie korzystają z tego pracodawcy zamrażając wynagrodzenia.

W 2010 r. niewiele było firm, w których udało się wynegocjować wzrost wynagrodzeń. Konferencjom prasowym Donalda Tuska, chwającego się wzrostem gospodarczym zielonej wyspy, jaką była Polska na tle Europy pogrążonej w kryzysie, towarzyszyło więc zablokowanie wzrostu wynagrodzeń dla milionów obywateli i pogarszanie się warunków zatrudnienia i pracy.

Elastyczny czas pracy, zastępowanie na masową skalę umów kodeksowych umowami śmieciowymi, likwidowanie zabezpieczeń gwarantowanych przez umowy zbiorowe i eliminowanie z nich wszelkich dodatkowych świadczeń było powszechną praktyką pracodawców, którzy do tego celu wykorzystywali hasło światowego kryzysu. Z tym zresztą rząd oszustów z PO do końca miał problem, bo do dziś nie wiadomo, czy w Polsce był kryzys, czy go nie było. Stosownie do potrzeb propagandyści Tuska raz twierdzili, że jest kryzys i trzeba ciąć oraz pozwalać pracodawcom na zmiany warunków pracy, a innym razem twierdzili, że dzięki rządowi kryzys Polskę ominął. Znalazł się nawet taki członek Tuskowego rządu w randze wicepremiera, który ogłosił, że on sam uratował polską gospodarkę przed kryzysem.

W tym samym czasie, gdy miliony musiały ponosić ciężary działań oszczędnościowych i antykryzysowych, właściciele, posiadacze i zarządcy majątku bogacili się w najlepsze. Nie słychać było o prezesach banków, którzy obniżyli swoje wynagrodzenia, o członkach zarządów otwartych funduszy emerytalnych, którzy zawstydzeni rezultatami swoich poczynań i światowym kryzysem rezygnowali z części swoich wynagrodzeń, czy o prezesach spółek tnących swoje pensje.

Byli za to tacy, jak np. prezesi Kompanii Węglowej, którzy

tłumacząc pracownikom, że nie dostaną podwyżek płac, bo jest kryzys, jednocześnie sami cieszyli się z siedmioprocentowej podwyżki swoich płac. Dopiero gdy sprawa stała się głośna, z ociąganiem zrezygnowali ze swoich podwyżek, podnosząc przy tym wielki krzyk, jaka to krzywda im się dzieje, bo przecież zarabiają tylko po 20 tysięcy.

Rzeczywiście, w porównaniu z członkami zarządów OFE, którzy roztrwaniają pieniądze przyszłych emerytów – w 2009 r. ich miesięczne wynagrodzenie wynosiło 45 tysięcy zł (źródło: „Rzeczpospolita” z 2 września br.) – lub zarządów spółek giełdowych – w pierwszym półroczu 2010 r. zarabiali miesięcznie 65 tysięcy zł (źródło: „Rzeczpospolita” z 5 września br.) – czy wreszcie prezesów banków zarabiających od 2 do 6 milionów zł rocznie, kwoty wypłacane w zarządach spółek skarbu państwa nie robią wrażenia. Ci, którzy tyle zarabiają, nie tylko nie odczuli żadnych skutków kryzysu, ale co więcej potrafili zadbać o to, aby ich pensje rosły szybciej niż wynagrodzenia przeciętnego obywatela.

Prezesi banków giełdowych, którzy w 2008 r. zarabiali od 2 do 6 milionów zł, wywalczyli dla siebie zwiększenie wynagrodzeń o 25 proc. w stosunku do roku poprzedniego. W tym samym czasie, tzn. w 2008 r., średni wzrost wynagrodzeń wynosił dwa i pół raza mniej, bo 10,1 procent (źródło: „Rzeczpospolita” i „Gazeta.pl” z 27 marca 2009 r.). Kryzys i zaciskanie pasa, które Tuskiowy rząd zafundował milionom obywateli, w żaden sposób nie zmienił sytuacji tych, którzy zarabiają miliony. Albo zarabiają jeszcze więcej, albo – w nielicznych wypadkach – tyle samo.

NIC SIĘ NIE STAŁO

Gdy milionom obywateli wmawiano, że konieczne jest ograniczenie wynagrodzeń i że muszą zrezygnować nie tylko z podwyżek, ale również z wielu uprawnień i gwarancji, które wcześniej posiadali, krezusi bogacili się w najlepsze. Im żadna krzywda się nie stała. To samo dotyczy menedżerów

największych firm światowych, którzy wywołali ten kryzys, pozbawili środków utrzymania i pracy miliony ludzi na świecie, a sami odeszli inkasując wielomilionowe odszkodowania.

Ich losy, zwykle wyjątkowo pomyślne, opisano w „Newsweeku” z 13 września br. w artykule pod tytułem „Jak dziś żyją winni kryzysu”. Odpowiedź na pytanie postawione w tytule zawarta jest już w pierwszych zdaniach artykułu i brzmi tak: „Sprawcy w większości mają się świetnie”. Świetnie mają się również menadżerowie polskich firm, którzy przegrali miliony, a nieraz setki milionów złotych, w hazardzie na opcjach walutowych. Skutki ich działalności ponieśli pracownicy, którym zablokowano podwyżki płac lub obniżono wynagrodzenia albo którzy stracili pracę. Wystarczy przywołać tu przykłady takich firm, jak Jastrzębska Spółka Węglowa czy Huta Batory. Także menadżerom tych firm nic złego im się nie stało.

Ocenia się, że w wyniku hazardu na opcjach walutowych sektor bankowy przejął od firm z realnej gospodarki około 9 miliardów złotych. Skala tego zjawiska nie została do końca oszacowana. Na liście poszkodowanych przez skutki niefrasobliwego hazardu uprawianego przez menadżerów są setki firm. Dziesiątki tysięcy osób wyrzucono na bruk i pozbawiono środków utrzymania. Tak było w przypadku pszczyńskiej fabryki Elwo – cała załoga trafiła na bruk, a firma ogłosiła upadłość. Dziesiątkom tysięcy innych obniżono wynagrodzenia lub pozbawiono ich możliwości podwyżek, natomiast „sprawcy w większości mają się świetnie”.

Skutki i efekty działań polskich menedżerów są więc opłakane, natomiast ich zarobki – nie mniejsze niż w krajach Unii Europejskiej. Polscy pracownicy należą do najgorzej opłacanych, a polska gwarantowana płaca minimalna należy do najniższych w Unii, ale w Polsce menadżerowie zarabiają więcej niż w Europie, a ich pensje rosną nie tylko szybciej, niż pensje pracowników, ale również szybciej niż pensje ich kolegów w innych krajach europejskich.

Pracownicy fizyczni zarabiają w Polsce pięć razy mniej niż w Norwegii, za to menedżerowie średnio wynagradzani są tak samo. W Irlandii i Wielkiej Brytanii menedżerowie zarabiają tylko o 10 procent więcej niż w Polsce. Wynagrodzenia polskich pracowników są od 3 do 6 razy mniejsze niż wynagrodzenia pracowników innych krajów UE.

Jednocześnie Polska to kraj, w którym płace na różnych szczeblach pracowniczej hierarchii są najbardziej zróżnicowane w całej UE, a zarobki menedżerów są nieproporcjonalnie wysokie w porównaniu z pozostałymi szczeblami zarządzania. Wynagrodzenie menedżera stanowiące aż 174 proc. płacy starszego specjalisty to fenomen w całej Europie – czytamy w raporcie Sedlak & Sedlak.

Gdy więc w wyniku liberalnej polityki rządu polskiego miliony zwykłych obywateli i szeregowych pracowników obciąża się kolejnymi kosztami, odbiera się im wynagrodzenia albo odmawia prawa do podwyżki pensji i świadczeń emerytalno-rentowych, nieliczne elity bogacą się na potęgę. Bardziej niż gdziekolwiek indziej, hasło rzucone przez pracowników: „Nie będziemy płacić za wasz kryzys!”, które tak wzburzyło media będące na usługach liberalnych rządów, jest więc w Polsce szczególnie uzasadnione.

ZWOLNIĆ? NIE! ZRACJONALIZOWAĆ

Tuskowy rząd Platformy Oszustów nie ogranicza się jednak do odbierania wynagrodzeń tym, którzy pracę jeszcze mają, odmawiania im prawa do podwyżek lub likwidowania ich miejsc pracy. Nie ogranicza się także do stałego nakładania nowych podatków, takich jak podwyżka VAT i cięcia środków przeznaczonych na cele społeczne. On robi o wiele więcej. Nie wystarczy, że zabierze część naszych pensji. Ma o wiele ambitniejsze plany.

Kilka tygodni temu w gabinetach Tuszkowego rządu powstał bowiem projekt specustawy, która wyrzuci na bruk tysiące pracowników

budżetówki. Projekt przygotowany przez głównego specja od maltretowania społeczeństwa Michała Boniego nosi niebanalny tytuł: „Projekt racjonalizacji zatrudnienia w państwowych jednostkach budżetowych i niektórych jednostkach sektora finansów publicznych w latach 2011 i 2012”.

Jak zwykle w przypadku liberalnej nowomowy, oznacza on nic innego, jak tylko masowe zwolnienia. Zakłamanie języka to jedno z największych osiągnięć liberałów. Tak, jak zarząd Kompanii Węglowej nazwał swój projekt likwidacji spółki „strategią rozwoju”, tak, jak na szkoleniach dla menedżerów wyrzucenie pracownika na bruk, nie nazywa się już „zwolnieniem”, lecz „uwolnieniem potencjału dla rynku pracy”, tak też rządowy projekt „racjonalizacji zatrudnienia” to nic innego, jak zwolnienia na masową skalę –przepraszam, „uwalnianie potencjału dla rynku pracy na masową skalę”.

Dokument ten, który przebija wszystko, co mógłby wymyślić Orwell, przewiduje, że rząd, a nawet sam pan premier, będzie zarządzał zwolnieniami w przysłówkowym „Pcimiu Dolnym” i je nadzorował. Może byłoby to śmieszne, gdyby nie było tragiczne. W wyniku realizacji tego projektu pracę straci około 60 tysięcy pracowników.

Ultraliberalna formacja polityczna, którą jest Platforma, zaplanowała, że zwolnionych ma być co najmniej 10 proc. pracowników jednostki, a jeśli jakiś kierownik nie zastosuje się do wytycznych ustawy, zostanie zesłany na Kołymę lub w inny sposób ukarany. Proponujemy premierowi Tuszkowi pójście za ciosem i nakazanie Boniemu szybkie przygotowanie kolejnych projektów, które sprawią, że sam pan premier osobiście będzie sprawdzał, jaką kawę piją zatrudnieni w tych jednostkach i ile wydają na spinacze biurowe.

W ramach tej kolejnej specustawy można by też przeprowadzić pod nadzorem pana premiera Narodowy Spis Spinaczy, który bez wątplenia wykaże, że spinaczy używa się za dużo, i pozwoli poczynić ogromne oszczędności w „tym temacie”. Byłoby to

kolejne niewątpliwe osiągnięcie premiera Tuska i najwierniejszego z jego ministrów Boniego.

Do realizacji takiego wielkiego projektu Narodowego Spisu Spinaczy zatrudnić można by całą armię kołesi z PO i ich rodzin, a realizację wielusetmilionowego projektu powierzyć firmie senatora Misiaka ze Szczecina. Do pomocy można by dać mu jeszcze Drzewieckiego i Chlebowskiego, którzy ostatnio nie mają nic do roboty.

Wróćmy jednak do projektu ustawy „o racjonalizacji zatrudnienia”, bo trzeba poświęcić mu więcej miejsca – to prawdziwa perełka. W projekcie tym czytamy, że „racjonalizacja zatrudnienia polega na zmniejszeniu zatrudnienia w jednostkach o co najmniej 10 procent”. Jak przystało na specustawę, w projekcie tej ustawy zawieszają się niektóre przepisy ochronne kodeksu pracy i inne przepisy chroniące pracowników przed zwolnieniem.

W ramach specustawy „zracjonalizować” więc będzie można także zatrudnienie osób przebywających na urlopie czy na L-4 lub z innego powodu legitymujące się usprawiedliwioną nieobecnością w pracy. A co tam przepisy kodeksu pracy, przecież oczywiste jest, że jeśli ktoś jest na urlopie lub na chorobowym, to trzeba go „zracjonalizować”, bo i tak pożytku z niego nie ma, skoro zamiast pracować choruje lub wypoczywa.

Z ustawy o „racjonalizacji” na wszelki wypadek wyłączono kierowników jednostek. Być może dlatego, że obawiano się, że w szale radosnego uniesienia spowodowanego przez realizację Tuskowej ustawy o „racjonalizacji zatrudnienia” czy w nadmiarze zapału i chęci przypodobania się samemu premierowi kierownik jednostki może „zracjonalizować” sam siebie.

ORWELL WYSIADA

Jest czego się obawiać, a jednocześnie trzeba zabiegać o łaskawe spojrzenie premiera, bo on sam będzie miał nadzór nad wykonaniem ustawy. W projekcie ustawy przewiduje się bowiem,

że „kierownik jednostki, w terminie do dnia 1 lutego 2011 r., przedstawi Prezesowi Rady Ministrów informację o stanie zatrudnienia w jednostce (...) zwaną dalej «raportem początkowym»”. Podobnie kierownik ma raportować premierowi na wszystkich etapach procesu „racjonalizacji”, który ma zostać zakończony do 1 lipca 2011 r., a „raporty z realizacji” mają trafiać na biurko premiera. I tak aż do samego końca, czyli do „raportu końcowego”.

Znów, jak przystało na specustawę, dla tych, którzy nie dość gorliwie wdrożyliby jej postanowienia, przewidziane są kary. Co prawda nie ma to być kara chłosty, ale kara wymierzona przez specjalną komisję orzekającą powołaną przy Szefie Kancelarii Prezesa Rady Ministrów będzie jeszcze bardziej dotkliwa, bo za „nie dokonanie racjonalizacji zatrudnienia” oraz za „nie przekazanie raportu początkowego, raportu z realizacji lub raportu końcowego w terminach” kierownik jednostki ma być pociągany do odpowiedzialności za naruszenie dyscypliny finansów publicznych.

Jak z tego wynika, nie ma żartów z rządu Tuska. Jego uzbrojona w skalpel ręka dotrze wszędzie, aby ciąć i robić oszczędności i nawet w „Pcimiu Dolnym” nikt się przed nią nie ukryje. Poza tym, że rząd ten zlikwidował stocznie i zmusił samorządy do przejęcia zobowiązań szpitali, teraz dobierze się do skóry innym.

Po górnikach, którym zamykane są kopalnie, po pracownikach służby zdrowia i ratownictwa medycznego, których specustawa sprywatyzuje i zrestrukturyzuje, po stoczniowcach wreszcie, których wysłano na zieloną trawkę, i po wielu innych grupach zawodowych i społecznych, którym już zdrowo dokopano, przyszedł czas na kolejne grupy – pracowników jednostek budżetowych, których się „zracjonalizuje”. Zablokuje się podwyżki płac i emerytur oraz rent, zetnię się świadczenia społeczne, a tym, którzy jeszcze będą mieli z czego płacić, podniesie podatki VAT. By wszystkim żyło się lepiej.

Autor: Bogusław Ziętek

Źródła: [Polska Partia Pracy](#) i [Władza Rad](#)